ROK 1. WARSZAWA,

N^ER 40. Dnia 24 Września / 6 Października 1866 r.



PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 42 (Złp. 29 gr. 14).
Półrocznie . „ — „ 90 (Złp. 6).	Półrocznie . „ 1 „ 21 (Złp. 8 g. 2).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 42 (Złp. 16 gr. 4).
Kwartalnie. „ — „ 45 (Złp. 3).	Kwartalnie . „ — „ 60½ (Złp. 4 g. 1).	Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można Zorzę: w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiéj i we wszystkich Kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

RĘKA BOŻA.

POWIASTKA,

ADELI CLÉRET.

TŁÓMACZONA Z FRANCUZKIEGO

(*Dokończenie.*)

— Ona ma wszystkie wady swego ojca, krzyczała ciotka! obłudnica, złodziejka z miną świętoszki, jest zdolna do wszystkiego! Następnie wieczorem, gdy mąż jéj powrócił, nie zaniedbała powiedzieć:

— Chciałeś wychować córkę swego brata pomimo wszelkich moich rad i przestróg; ciesz się więc teraz. Powiadają, że nie daleko jabłko od jabłoni pada, sprawdza się téż na niéj to przysłowie... Och! pożałujesz ty nieraz, żeś mię nie posłuchał. Żebyś ją był przynajmniéj oddał do zakładu sierot, byłaby już dla nas stracona, a ty nie byłbyś narażony, aby kiedyś jéj niecne postępki rzuciły nową hańbę na ciebie i dzieci twoje.

— Cóż ona znów zrobiła, to złośliwe stworzenie? odpowiedział wuj podburzony przymówkami swéj żony, których znał władzę.

— Co zrobiła? Przebóg! okradła cię, wywdzięczając się za to, żeś ją przyjął.

Przez te smutne i nikczemne wykręty żona Julijana Bernarda do tego stopnia chciała go zbuntować, aby się ten odważył wypędzić z domu dziecko swego brata; ale przyszło tylko do tego, że została kilka razy uderzoną. Na biednéj dziecinie malowała się jakaś słodycz anielska; zdała się zupełnie na wolę Bozką, posłuszna na każde skinienie, była wstanie rozbroić twardsze jeszcze serce niż jéj wuja. Na nieszczęście zachowywała się względem niego z wielką ostrożnością, nie śmiała okazać mu najmniejszego przywiązania, oświadczyć mu swéj

wdzięczności, aby nie być posądzoną o obłudę. Była zmuszona tłumić w sobie najpiękniejsze uczucia.

Cierpienia moralne, niedostatek na który była narażona w dziecięctwie, pozostawiły ślady na jéj twarzy. Była szczupła i mizerna, oczy bez blasku, ale odbijała się w nich cała słodycz i dobroć jéj serca. Postać jéj tak była wysmukła, że można ją było przyrównać do wątłéj trzciny, która się uginała za lada powiewem wiatru. Zaczynała rok dwunasty; do téj pory, nie pomyślano jeszcze o posyłaniu jéj do szkoły, ani o przygotowaniu do piérwszéj św. Kommunii. Sąsiedzi ganili to ciotce. Ta, niechcąc być wyśmianą w okolicy, pozbawiła się na parę miesięcy jéj usług, i pozwoliła jéj uczęszczać do szkoły bezpłatnéj, utrzymywanéj przez zakonnicę, dla nauczenia się katechizmu. Pomimo tysiącznych przykrości, które zaćmiewały jéj młodość, Klemunia nie zapomniała wcale napomnień, przestróg i uwag pobożnéj swéj matki. Modlitwa pokrzepiała ją i umacniała w dolegliwościach. Mówiono, że jakaś niewidzialna ręka podtrzymywała, dodawała odwagi, przewodniczyła jéj, w pracy usuwała wszelkie przeszkody, pokazując jéj zdaleka jakby przez szkło, jaśniejący i szczęśliwy obraz ojca, przywróconego do czci i sławy.

Nauki księdza wikarego i pobożnéj zakonnicy, którzy ją przyspasabiali do pierwszéj Kommunii, więcéj jeszcze umacniały ją w dobrych zasadach; wkrótce odznaczyła się pilnością i postępem w naukach, łagodnością i pobożnością, która była zadziwiającą w tak młodem dziecku.

— Drogie dzieci, mówił często przy katechizmie ksiądz wikary, starajcie się być coraz cnotliwszemi i pobożniejszemi, abyście mogły godniéj przystąpić do stołu Pańskiego; pamiętajcie, że szczęście lub nieszczęście całego życia waszego będzie zależeć od sposobu, w jaki przyjmiecie waszego Stwórcę do serca; godnie przyjęta Kommunia święta ściąga na nas łaski nieba.

Na te słowa w sercu Klemuni rosła nadzieja. Ona jedno tylko miała życzenie, o jedną tylko łaskę błagała ustawicznie Boga, to jest o uwolnienie ojca.

Aby to otrzymać, modliła się dniem i nocą; raz wzywała Imienia Jezusa Chrystusa, to znów uciekała się do Najświętszéj Matki, do stóp któréj odprawiła pielgrzymkę wraz z matką swoją. Tymczasem modlitwy te i posty wzbudziły jakiś dziwny zapał w jéj młodym umyśle; w przeddzień uroczystości, miała sen, który ogarnął całą jéj duszę; okryta białym welonem kommunikantki, widziała się rozrywającą kajdany ojcu w miejscu wskazanem jéj przez Matkę Bożą. Gwałtowność tego wzruszenia przebudziła ją, wzburzona wyobraźnia uspokoiła się: czuła w swem sercu rozszerzające się jakieś nieznane szczęście, i uważała to sobie za dobrą wróżbę.

Zaledwie dzień się ukazał, ów dzień tak ważny, tak uroczysty, tyle oczekiwany przez pobożne serduszka, dzień, w którym z Bogiem pojednać się miały, już troskliwe matki przygotowywały ubrania dla swych dzieci. Jedne zamożniejsze sprawiły im piękne koronkowe welony, jedwabne suknie; inne mniéj zamożne dały skromniejsze ubrania swym dzieciom, ale jednak świeże i nowe; każda z nich ubrała, tak jak mogła najlepiéj, i o ile stan jéj pozwolił.

Lecz biedna Klemunia nie miała matki; ojciec jęczał w więzieniu; co zaś do wuja i ciotki, ci wymówili się brakiem czasu od zaprowadzenia jéj do kościoła.

Odziana w sukienkę sióstr miłosierdzia, która była jéj daną przez księdza proboszcza, skoro tylko kościół został otwarty, pobiegła sama klęknąć przed ołtarz Matki Bożéj. Tam ręce trzymając złożone, z oczami pełnemi łez, z głębi serca powtarzała swą gorącą prośbę, którą tak często lecz daremnie zanosiła. Kiedy była pogrążoną w tem pobożnem zadumaniu, przypomniała sobie coś tak nagle, jakby promienie wydobywające się z łona chmur, aby przedrzeć mgłę gęstą z rana.

W czasie, w którym było popełnione morderstwo pana Ferneja, umysł Klemuni nie był jeszcze rozwinięty, i nie przywiązywała wielkiéj wagi do uczynku, którego odkrycie mogło może ocalić jéj ojca, a oddać w ręce sprawiedliwości prawdziwego zbrodniarza. Jak tylko została przyjętą do domu swego wuja, była obowiązaną każdego dnia zanosić mu obiad do fabryki. Gdy zajadał, kucharka państwa Werrierów dawała jéj małe zatrudnienie. Wiedząc, jak niegodziwie obchodzili się z biedną sierotą, poczciwa służąca wtenczas tylko wzywała ją do pomocy, gdy była wstanie wynagrodzić ją w jakikolwiek bądź

sposób. Często posyłała Klemunię do pokoju swéj pani, któréj zdrowie delikatne i bardzo wątłe wymagało ciągłych usług. Pani Werrierowa nie opuszczała łóżka, korzystając z obecności dziewczynki, kazała sobie podawać to chustkę czystą, to serwetkę, lub coś podobnego, czego nie miała pod ręką. Otwierając jedną z szuflad, Klemunia pewnego dnia spostrzegła piękny kubek złoty rzeźbiony. Widok jego obudził w jéj umyśle przypomnienia mniéj więcéj pomięszane, zagmatwane; lecz nigdy nie przyszło jéj do myśli zapytać samej siebie, czyto był ten sam kubek, który widziała w dziecięctwie u pana Ferneja, a tym sposobem i drugie pytanie byłoby niezawodnie nastąpiło, jakim sposobem szczególniejszym, przedmiot ten, tak kosztowny, o który ojca jéj posądzono, że go ukradł, znajduje się tutaj schowany?

To zapytanie tak proste, tak silne, tak wyraźne, powstało nagle w umyśle młodéj dziewczyny, w chwili, gdy się modliła w kościele jeszcze pustym przed tronem Królowéj Aniołów; jednocześnie i uboczne okoliczności przypomniały jéj się; widziała pana Werriera wchodzącego cichuteńko do mieszkania rodziców, widziała go zbliżającego się do kominka i jakby od niechcenia zdejmującego klucz z gwoździa, a następnie, kiedy się z nią pieścił i bawił, przypomniała sobie i jakby w téj chwili uczuła lekkie dotknięcie się jéj czoła zimnym kluczem.

Czy pan Werrier nie wziął klucza, powierzonego jéj ojcu, aby się dostać do pokojów swego wuja, i tam popełnić najstraszliwsze morderstwo?.. Kubek złoty będący teraz jego własnością, jakim sposobem mu się dostał? Dla czego schowany na samym spodzie szuflady pod zamknięciem? gdy tymczasem inne przedmioty mniéj piękne i mniéj bogate, stoją rozłożone na kominku. Wszystko to zbiegło się na raz w jéj małéj główce; nie miała czasu odpowiedzieć sobie na tyle różnych a różnych zapytań. Oddana cała modlitwie, błagała Boga gorąco, aby ją oświecił, natchnął i dopomógł jéj do wykrycia całéj prawdy i zwalczenia wszelkich trudności, a następnie z wielką skruchą przysposabiała się, aby przystąpić godnie do stołu Pańskiego. Wszystkie jéj nadzieje, troski i pociechy ustąpiły na bok; postać ojca zatarła się nawet w jéj pamięci, a oddała się myślą, sercem, duszą, całą swą istotą Temu, który miał zstąpić do jéj biednego serduszka —utajony w Najświętszym Sakramencie.

Kościół się zwolna napełniał wiernymi, których uroczystość ceremonii sprowadziła. Ze spuszczonemi w ziemię oczkami Klemunia poszła zająć miejsce w liczbie pierwszych kommunikantek. Podczas całéj mszy okazywała wzór pobożności; gdy się zbliżyła do stołu świętego, jéj blada twarzyczka była zalana łzami tak rzewnemi, że aż zwróciła uwagę proboszcza, który był obecny przy ceremonii. Po skończonem nabożeństwie szanowny ksiądz zbliżył się do niéj i zaraz głosem pełnym słodyczy i pociechy zapytał o przyczynę łez. Klemunia ujrzała w nim pomocnika i przewodnika, zesłanego przez Opatrzność. Korzystając z dobrych chęci proboszcza, którémi był dla niéj przejęty, prosiła, aby użyczył jéj chwilkę czasu dla rozmówienia się z nim na osobności. Poszli do zakrystyi; tam Klemunia opowiedziała pobożnemu kapłanowi drżącym głosem wypadek nieszczęśliwy swego ojca, opowiedziała pielgrzymkę, jaką odbyła ze swoją nieboszką matką, nadzieję i ufność, którą w Bogu pokłada; opowiedziała o swych modlitwach i postach, o śnie, który ją tak mocno przejął, a w końcu, co tylko przyszło jéj do myśli dzisiejszego poranku u stóp ołtarza.

Godny proboszcz, zadając jéj różne pytania odnoszące się do wypadków przez nią opowiedzianych, był zdziwiony jasnością jéj rozumowania, zajął się serdecznie całem jéj wyznaniem, podziękował Bogu, że go wybrał za przewodnika nieszczęśliwemu dziecku, i nie tracąc chwili czasu, siadł z nią do powozu i udali się do kancelaryi prokuratora, gdzie dzięki wpływowi proboszcza Klemunia została zaraz przypuszczoną do uczynienia zeznania. Powóz odwiózł ich następnie do domu wujostwa, którzy z wielkiem zdziwieniem przyglądali się, widząc ją w towarzystwie szanownego księdza.

Od tego prawie dnia złe postępowanie względem Klemuni o wiele się zmniejszyło, gdyż nowy jéj opiekun powracał hojnie Julijanowi Bernardowi wszelkie wydatki, które dla niéj ponosił.

Skoro nadzieja uniewinnienia ojca Klemuni stawała się z każdym dniem pewniejszą, usłyszano pewnego poranku, że bogate mieszkanie państwa Werrierów było zajęte przez policyę. Zastanowiwszy się nad zeznaniem Klemuni,

policya weszła niespodzianie drzwiami fabryki, i przystąpiła do działania poszukiwań w najmniejszych zakątkach. Znaleziono tam nietylko kubek złoty, ale i pugilares starego kawalera. Natychmiast zatrzymany pan Werrier, nie czując w sobie odwagi do zaprzeczenia tak jawnéj rzeczywistości, zrobił całkowite zeznanie swéj zbrodni. Protokuł wkrótce został spisany, sprawa wszystkim stała się wiadomą: a zeznanie jego otworzyło drzwi więzienia i zrzuciło kajdany z nieszczęśliwego Piotra. Ten bezzwłocznie został wypuszczony na wolność; ale straszne cierpienia, które znosić musiał podczas długiéj niewoli, zestarzały go przedwcześnie. Zaledwie był do poznania, tak mu oczy w dół wpadły; czoło się poorało zmarszczkami, włosy posiwiały. Ojciec i dziecię rzucili się w objęcia z radością, któréj żadna ludzka ręka nie jest wstanie odmalować. Piotr nie mógł się dosyć naprzyglądać swéj córce; tak była maleńką, kiedy ją opuścił i tak już podrosła, wielkie miała podobieństwo do matki! Pokazała się taką, jaką tak oddawna być nie mogła, tak pieszczotliwą, tak uczuciową, tak radosną, że wuj i ciotka patrzyli na nią z pewném zachwyceniem, nie mogąc jéj prawie poznać. Po pierwszych uściśnieniach, Piotr z wylaniem głębokiéj wdzięczności zwrócił się z otwartemi rękami do Julijana.

— Dzięki ci, bracie! mówił głosem przerywanym od łkania, dzięki ci! ty zastępowałeś ojca memu biednemu dziecku, czyż poświęcenie całego mego życia wystarczy na zapłacenie ci tak wielkiego dobrodziejstwa?

Na te wzruszające słowa wstyd i zgryzota sumienia opanowały jego serce. Czoło jego okryło się szkarłatem i mimowolnie spuścił oczy. Serdecznie żałował, że tak mało zasłużył na wdzięczność i czułość brata swego. Pchany nieznaną siłą zbliżył się do Klemuni, która uczuła na swem czole łzy, jakiemi wuj zdawał się ją przepraszać za wyrządzone krzywdy.

Wspaniałomyślne dziecko zrozumiało tę niemą prośbę przez wymowne ściśnięcie ręki; przyobiecała mu zupełne zapomnienie przeszłości. Z powodu skazania pana Werriera zakład należący niegdyś do pana Ferneja zosta zamknięty, a Julijan Bernard pozbawiony zarobku. Piotr po wyjściu z więzienia, napotykał wszędzie najżywszą przychylność. Proboszcz parafijalny który się do niego nadzwyczaj przywiązał, wyrobił mu miejsce nadzorcy robotników w jednym z pierwszych zakładów. Wierny wdzięczności, którą bratu swemu przyrzekł, Piotr póty nie miał spokojnego i szczęśliwego sumienia, póki za pomocą wielkich starań nie wyjednał zatrudnienia Julijanowi w tym zakładzie, gdzie sam był nadzorcą. Tą razą Julijan nie pokazał się ani niewdzięcznym, ani zazdrosnym: oczyścił się zupełnie z dawnych wad i stał się prawdziwym przyjacielem brata swojego. Żona jego była wzruszona wspaniałomyślnością swéj siostrzenicy, która pokryła milczeniem złe obchodzenie się z nią w dziecięctwie. Ceniąc w Klemci zalety i cnoty prawdziwéj chrześcijanki, wychowywała odtąd swe córki w zasadach religii, których nabożna ich kuzynka dała im tak doskonały przykład.

Piotr Bernard starzał się powoli przy swéj córce, która życie swoje przepędziła, wyświadczając wszelkiego rodzaju dobre uczynki.

J. Gr.

LIST
DO
REDAKCYI ZORZY
O WARSZTATACH DLA NIERZEMIEŚLNIKÓW.

Redakcya Zorzy w Nr. 22 z r. b. swego pisma, podjęła myśl *o urządzeniu warsztatów rzemieślniczych*, w którychby osoby, mające stałe inne zajęcia, jak naprzykład: *młodzi urzędnicy*, *aplikanci*, *dependenci*, *studenci*, w godzinach wolnych od zwykłéj swojéj pracy, mogły się zajmować jakiem rzemiosłem.

Czytelnik Zorzy, oceniając doniosłość téj myśli, która w czyn wprowadzona wydałaby niewątpliwie dobre skutki tak dla samych pracujących jak i w części dla ogólnego rozwoju rzemiosł i rękodzieł, pragnie w tym przedmiocie napisać słów kilka, dla których, mam nadzieję, Szanowna Redakcya miejsca w szpaltach swego pisma nie odmówi.

Zastanawiając się nad urządzeniem warsztatów rzemieślniczych, w którychby udział mieć mogły osoby zajęte pracą biurową, nastręczają się uwagi z jednéj strony przedstawiające

w skutkach pod różnemi względami ważne korzyści, z drugiéj zaś, pewne trudności pod względem samego urządzenia tych warsztatów, i obmyślania odpowiednich warunków dogodnego ich bytu.

Ażeby dojść do wniosku, o ile myśl ta urzeczywistnioną być może, należy rozebrać po szczególe wszystkie te uwagi porządkiem, jakim się one nasuwają.

Praca warsztatowa w godzinach popołudniowych wymagająca ruchu, człowiekowi mianowicie młodemu, po kilkogodzinnéj pracy biurowéj robiłaby korzystny wpływ na zdrowie i rozwój sił fizycznych, zastępując tu poniekąd gimnastyczne ćwiczenia; praktyka bowiem ciągle przekonywa, że praca biurowa, wymagająca ciągłego siedzenia, przedwcześnie wątli siły. Dla tego téż lekarze szczególniej urzędnikom zalecają używanie ruchu; praca warsztatowa dawałaby pożądany ruch, zapewniając obok tego pewne materyalne korzyści, dla których wielu z młodych urzędników i aplikantów pracować muszą po godzinach biurowych w sposób mniéj sprzyjający zdrowiu.

Drugą ważną okolicznością zasługującą na uwagę jest i to także, że po pewnym przeciągu pracy przy warsztacie, możnaby się w jakiemkolwiek rzemiośle doskonale uzdolnić; nie ulega zaś wątpliwości, że ludzie wykształceni, z jakich w ogólności składa się warstwa, o któréj mowa, potrzebowaliby nieporównanie mniéj czasu na naukę i daleko lepiéjby się uzdolnili, niż inni, którzy z bardzo małem lub bez wykształcenia rozpoczynają naukę rzemiosła; po czem uczący się kandydaci mogliby składać majstrowskie egzamina i urządzać sobie oddzielne własne warsztaty, co téż w różnych kolejach życia mogłoby być bardzo przydatnem.

Niemożna pominąć także i téj uwagi, że w kraju naszym, gdzie rękodzieła i rzemiosła są przeważnie w ręku obcych, a mianowicie niemców, którzy osiągają znakomite z tego korzyści, uzdolnienie się w tym przedmiocie większéj liczby krajowców byłoby rzeczą pożądaną, tém, więcéj, że warstwa rzemieślników krajowych przeważnie, przyznać trzeba, składa się z ludzi mało lub wcale niewykształconych, skutkiem czego rękodzieła i rzemiosła nasze nizko stoją i tém tłómaczy się powodzenie obcych rzemieślników w naszym kraju, i lekceważenie stanu rzemieślniczego, jako mało ukształconego.

Jeżeli rolnictwo stanowi najważniejszą gałąź pracy dla wszystkich narodów, to nie ulega wątpliwości, że po rolnictwie najważniejszą gałęzią pracy są rękodzieła i rzemiosła; praca ta bowiem daje produkcyę; handel zaś uważany powszechnie jako źródło bogactwa krajowego, któremu poświęca się dużo ludzi uzdolnionych, jedynie tylko porządkując i zamieniając produkcyę, może istnieć tam tylko, gdzie tę produkcyę praca wydaje, a więc się opiera na rolnictwie, rękodziełach i rzemiosłach; czyli że właściwie te gałęzie pracy, dające produkcyę, są źródłem bogactwa krajowego.

Pozostaje więc zapytać się, dla czego u nas tak mało młodzieży wykształconéj poświęca się rzemiosłom? Czyliż godzi się sądzić, że rzemiosła nie wymagają ludzi wyształconych. Niemasz pracy, któréjby rozum wzbogacony nauką udoskonalić łatwiéj i lepiéj wykonywać niepotrafił; a więc w rozwiązaniu pytania trzeba przyznać, że to są jeszcze ślady starych uprzedzeń, które wzbraniały rozumnego zapatrywania się na rękodzieła i rzemiosła. Urzeczywistnienie myśli urządzenia warsztatów rzemieślniczych dla młodzieży warstw wykształconych zatrze te ślady przesądu i bez wątpienia podniosłoby poniekąd społeczność naszą.

Rozważając z kolei trudności, jakie się nastręczają w urzeczywistnieniu projektu urządzenia pomienionych warsztatów, te zdają się zasadzać jedynie na obmyśleniu funduszu nakładowego na urządzenie potrzebnego i na wynalezienie sposobu zapewnienia skontraktowanym, fachowym rzemieślnikom odpowiednich korzyści.

Ażeby uzyskać potrzebny fundusz, najwłaściwszem się zdaje, aby zawiązała się spółka np. kilkudziesięciu osób, któreby po klikadziesiąt rubli złożyć na ten cel chciały w rodzaju niby rozkupienia akcyj; każda taka kwota czyli akcya mogłaby mieć poręczony procent. Odpowiedzialność za wypłatonść akcyj procentu przyjęliby na siebie wszyscy kandydaci, życzący uczęszczać do warsztatów w odpowiednim stosunku, co łatwéjby było, gdyby sami kandydaci wyłączne lub przynajmniéj w znacznéj części byli akcyonaryuszami.

Ponieważ fundusz ten byłby stosunkowo mały, przeto na początek możnaby urządzić warsztaty jednego tylko rzemiosła np. stolarskie lub tym podobne; osiągnięty kapitał ze sprze-

daży akcyj, podzielić na trzy części, a mianowicie:

1. Na roczne najęcie lokalu,
2. Na warsztaty i narzędzia rzemieślnicze,
3. Na mały choć zapas materyału do robót.

Skontraktowanie rzemieślników, którzy już mają urządzone swoje warsztaty, przedstawiałoby wielkie trudności, gdyż można przypuszczać, że majster taki nie zechce wystawiać na ryzyko własnych dotychczasowych dochodów, zgadzając się na zmianę swego położenia; lecz możnaby skontraktować majstra nowo ukwalifikowanego, który jeszcze żadnych nakładów na własne warsztaty nie robił, więc nic nie ryzykuje, i przeznaczyć go do kierowania warsztatami; prócz tego skontraktować pewną liczbę czeladników stosownie do liczby warsztatów i każdemu z tych za pomocników dodać po kilku lub paru z liczby kandydatów, którzyby pracowali dowolną liczbę godzin w dniu, o ile własne stałe zajęcia dozwalałyby im czasu; zaś skontraktywany majster z czeladnikami pracowaliby dzień cały.

Roboty przyjmowałyby się na zamówienia; lub w braku tego, wyrabianoby przedmioty najłatwiejsze do sprzedaży i odsyłano do głównego składu wyrobów np: stolarskich; w miarę sprzedaży każdego przedmiotu obliczona wartość użytego materyału choćby z najmniejszym procentem odtrąconą i do kapitału na materyały włączonąby została.

Następnie odtrąconoby od każdéj sprzedanéj sztuki pewien procent na zarząd warsztatów, to jest: na komorne, na cząstkowe nakłady na narzędzia warsztatowe, opał światło, opłacenie procentów od niewykupionych akcyj i choćby na najwolniejsze umarzanie tychże; resztę rozdzielanoby w stosunku zastrzeżonym ułożonemi na ten cel przepisami między majstra, czeladników i stosownie do ilości pracy pomiędzy uczących się, rachując ze względem na czas lub od sztuki.

Tym sposobem akcye powoliby się mnożyły, a uczący się kandydaci w miarę uzdolnienia się zastępowaliby fachowych czeladników; w skutek czego, zapewniając sobie większe korzyści, rozwijaliby zakres działalności warsztatów.

Kończąc na tem artykuł niniejszy, mam nadzieję, że Szanowna Redakcya Zorzy nie odmówi szpalt swego pisma, jeśliby kto w tym przedmiocie pragnął swe myśli objawić.

Warszawa, d. 24 Września 1866 r.

A. Borchart.

Redakcya, umieszczając z chęcią powyższe rozwinięcie poprzednio rzuconego pomysłu i pragnąc wprowadzenia go w życie, cieszy się, iż myśl ta w niepamięć nie poszła. Byłoby pożądanem, aby dla różnostronnego zbadania przedmiotu, mogły nam być przesłane przez osoby fachowe uwagi, jeżeli się jeszsze jakie nastręczą.

OGIEŃ I WODA.

PRZYPOWIASTKA.

Ogień, hucząc na kominie,
Rzekł do wrzącéj w kotle wody:
— Spojrzyj na mnie, sądź po minie,
Czy śmiesz ze mną iść w zawody!
Lecz woda niemniéj zuchwała
Ustąpić mu nie myślała.
A więc się zaczęli swarzyć,
Ta zalewać, a ten parzyć. —
Dla obu wynikła szkoda:
Zniknął ogień, znikła woda.

Tak to bywa — gdzie niezgoda!

J. Gr.

CO TEŻ SŁYCHAĆ w WARSZAWIE?

Uprzejmość i dobre serce Warszawian. Kościół na Grzybowie. Sypać groble według stawu. Jak patrzą niektórzy na Francuza, Anglika i Niemca? Szyld w zagraniczném mieście. Koléj konna i miejskie wagony. Stan zdrowia. Ptastwo. Mazanie .murów i zrywanie afiszów.

Kiedy mi przyjdzie rozważać w cichości o tém i o owém, to przyznać muszę, że największą zaletą Warszawian jest dobre serce, uprzejmość i chętność w pomaganiu drugim, mianowicie nieszczęśliwym osobom. O uprzejmości Warszawian przekonałem się jeszcze przed kilkunastu laty, gdy przybywszy do tak dużego miasta, gdzie 200 kilkadziesiąt tysięcy ludzi roi się po ulicach niby w nieznanym lesie, każdy z przechodniów zapytany przezemnie o tę lub ową uli-

cę, o ten lub ów dom, zatrzymywał się chętnie, wskazywał szukane przezemnie miejsce, a nawet i nieraz, choć mu to z drogi było, doprowadzał mnie do niego. Taka grzeczność jest to już cechą ukształcenia, oznaką pewnéj oświaty w ogóle ludności. O dobrém zaś sercu tutejszéj ludności przekonywam się co chwila, już to naocznie, gdy chodząc ulicami, widzę, jak się ręce przechodniów stykają z wyciągniętémi dłońmi tylu tutejszych żebraków, otrzymujących wsparcia w drobnych monetach.—Już też utwierdzam się wciąż o tém ze słyszenia i przez czytanie gazet Warszawskich. Dosyć bowiem podać do którego z dwóch Kuryerów wiadomość, że pod tym a tym numerem, na takiéj a takiéj ulicy mieszka jaka nieszczęśliwa wdowa, lub obłożnie chora staruszka, albo kaleka jaki,—a pewno przeczytasz nazajutrz, że owéj staruszce, owemu kalece ten przeznacza rubla, inny kilka złotych i t. d. Dowodem téj dobroczynności są także widowiska tutejsze i zabawy w ogrodzie Saskim dość często do roku wyprawiane na korzyść biednych: bo żadna z podobnych zabaw nie obejdzie się bez zebrania znacznéj summy pieniędzy na cel miłosierny. Niedawno też naprzykład wezwały pisma, aby dobroczynne dłonie przyłożyły się do ukończenia budowy i zaopatrzenia w potrzeby kościoła Wszyst. ŚŚ. na placu Grzybowskim, a już codziennie czytać możesz ogłoszenia o złożonych chętnie pieniędzach, kielichach, lichtarzach, ornatach, stułach i t. p. przez niewiadome osoby dla pomnożenia Chwały Bożéj na ziemi i na większą pociechę żyjących. Dzięki też tym ofiarom kościół wspomniony już rozpocząć może odbywanie nabożeństw w dolnéj swéj części. Dosyć jest także wejrzeć w skład Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, a przekonać się można, ilu to ludzi, często nie mających czasu do stracenia, dobrowolnie poświęca codziennie po kilka godzin na pożytek cierpiącéj ludzkości.

Piękna to strona, zaprawdę, ludności naszéj— owa dobroczynność, owa troska o chwałę Bożą! Przy tych cnotach, przy dobrém sercu, jakże są nędzne owe pustoty, owa płochość i lekceważenie wielu o byt swój, o spokój życia i domu swojego;—przy téj pięknéj stronie zaciera się poniekąd przykre wrażenie owego ubiegania się za zbytkiem i bezmyślném małpowaniem drugich, owych powszechnych niemal wad naszych.

Ja sobie w staroświeckim swoim rozumie uważam, że dopóty na świecie, a więc i nam lepiéj dziać się nie będzie, dopóki nie zajaśniejemy jak gwiazdy cnotami, dobremi uczynkami; dopóki w pokorze ducha mniéj w moc swego rozumu, a więcéj w łaskę i błogosławieństwo Boże ufać będziemy. I myślę sobie jeszcze, że dobrze i bardzo korzystnie jest mieć wynalazki i krzewić je u siebie; chwalebnie jest umieć i wiedzieć wiele; przyzwoicie jest chodzić coraz miléj dla oka, ale przedewszystkiem, jak to mówią „wedle stawu groblę sypać należy.“ Francuz, zdaje nam się, że wciąż szaleje, Anglik ciągle klnie i wodę z arakiem pije, Niemiec, wiecznie fajkę tylko palić i psami jeździeć umie; tymczasem, kto głębiéj na nich patrzy, to przyzna, że tak nie jest: bo Francuz, z natury bardzo żywy, umie doskonale na chleb pracować, i choć niby szaleje, a świat cały swemi pomysłami i wynalazkami za rękę wiedzie; Anglik niby wciąż arak pije,—ale przecież nikt tak roztropnie jak on handlu i interessów poprowadzić nie umie; Niemiec znowu niby niezdara, co tylko o fajeczce pamięta, a przecież gdzież to lepiéj gospodarować i wygodnie mieszkać umieją jeżeli nie w Niemczech? My zaś nie lubiąc nieraz głębiéj i zimniéj w rzecz spojrzeć, chwytamy dla siebie to od cudzoziemców, co nam w oczy wpadnie, nie zaglądając im poddach, do domu; i ztąd to niedawno w jakiemś mieście zagranicznem, kiedy na szyldzie krawieckim chciano pomieścić ludzi z różnych krajów, to wszystkich wiedziano jak ubrać, a Polaka, że byli w kłopocie, jak go ustroić, wymalowali nagim.

Ale wróćmy się do naszego miasta. Mamy w nim nowość. Jest to koléj konna i wagony, które się już pokazują na ulicach, a które ciągnione końmi chodzić środkiem miasta będą i przez pyszny most na Pragę przewozić przejezdnych i pakunki ich od dworca kolei żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, do dworca kolei żel. Warszawsko-Petersburskiéj. Już też koléj idąca ztąd do Terespola w części otwartą została, tak, że teraz 3 koleje żelazne z Warszawą się stykają. Ta okoliczność, a przytém położenie nad Wisłą, po któréj chodzą parowe statki, berlinki i tratwy ze zbożem, przyczyniają się bardzo do wzmożenia życia i tak już ruchliwego samego przez się miasta. A piękniejszą, doprawdy, co miesiąc prawie staje się

Warszawa; coraz nowe, okazałe, bardzo ozdobne powstają kamienice, a ogródki dawne i urządzone niedawno w środku miasta, gdzie pełno kwiatów, akacyj, kasztanów i innych roślin wabiących przechodniów, nadają miastu bardzo świeżą, bardzo piękną postać.

Śród panujących upałów jesiennych, bez kropli deszczu już od dni kilkunastu, choroba epidemiczna nieco się wzmogła w Warszawie, bo już dziennie do 100 kilku ludzi zapadało; od paru dni zatem o kilkanaście osób więcéj na dzień zachorowało. W każdym razie cholera w tym roku wcale nie jest tak straszną jak lat dawniejszych; bo na takie liczby chorych od 10 do 15 osób dziennie w przecięciu umiera, a trzy razy więcéj wraca do zdrowia; gdy tymczasem w innych miastach Europejskich, jak w Berlinie lub Szczecinie i Wrocławiu w Prusach; jak w Petersburgu; lub we Lwowie i Brodach w Galicyi; jak w Londynie stolicy Anglii, trzy części osób chorych umiera lub umierało, a zeledwie czwarta część przychodziła do zdrowia. Kto też ostrożnie zachowuje się z jedzeniem, piciem, nie zaziębia się, nie drży ze strachu, ten cholery nie dostanie. Dziwna rzecz! w roku 1852. W owym czasie strasznéj cholery u nas, nie dopatrzyłeś tu ani jednego ptaka, a dziś gromadami się trzymają, —co, jak mówią, jest oznaką, że powietrze nie tak zbyt zanieczyszczone tą zarazą.

O jednéj małéj na pozór okoliczności wspomnieć tu jeszcze muszę, i tę kolegom moim z rzemiosła, panom majstrom pod rozwagę daję. Wiadomo wszystkim, jakto młodsza czeladź nasza, uczniowie i terminatorowie nasi ze szkaradnéj wady pisania i mazania po murach, ścianach i parkanach są znani. Czyżby to nie czas już było, żeby wziąść się ostro do podobnych psotników i przeszkodzić im wpływem swym i strofowaniem, aby od tego brzydkiego narowu ich odwieść? Niech tylko nowy dom wymurują, niech go tylko pobielą ludzie, a już za kilka chwil ujrzymy na nich różne bazgraniny i nieprzyzwoite słowa, szpecące miejsce i obrażające oczy. A wszakżeż wiadome to przysłowie „kto pisze mury i ściany, ten kiep zawołany“; Wykorzeniéby też warto niemniéj prawdziwie ulicznikowskie swywole, aby afiszów i znaków z papiéru poprzyklejanych do drzwi handlów i sklepów tutejszych nie zdzierały dzikie, swawolne chłopcy z terminów.

RADY GOSPODARSKIE.

Przechów owoców, aby nie pomarzły. Owoce pokrywają się słomą, a potém na wierzch grubą i dobrze zmaczaną matą. Cała rzecz zależy na tém, aby woda nie dochodziła do owoców; wówczas uchronione od chłodu przechowywają się dobre i zdrowe.

Przechów kalafiorów. Oddzieliwszy liście od kalafiorów, zalać je w jakiem naczyniu wrzącą wodą, potém wyłożyć na przetak, a gdy woda ścieknie, ułożyć w faskę pokrytą denkiem i nacisnąć kamieniem, ażeby ściśle uleżeć się mogły. Tymczasem posoliwszy pewną ilość wody, zgotować ją, wyszumować, a gdy się fus na dnie już ustoi, przecedzić przez serwetę i wodą takową zlać znajdujące się w fasce kalafiory. Taki sposób przez czas długi zachować je może. Biorąc kalafiory do użycia, potrzeba dobrze je w wodzie wymoczyć, dla pozbycia się solnych części.

ZAGADKA.

Co to jest?

Taczają się goście
Po lipowym moście
Do glinianego domku.

Znaczenie poprzedniéj zagadki. —„*Świder*

Sprostowanie. W przeszłym Numerze na str. 311, wiersz od dołu 8 szpalta prawa zamiast 4, 7, 8, czytaj 4, 6, 8; str. 312 wiersz od góry 4, szpalta lewa zamiast 2 luty, czytaj 2 funty. Na ostatniéj szpalcie w wier. 18. od góry zamiast robutki ma być *robaki*.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert. — w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.